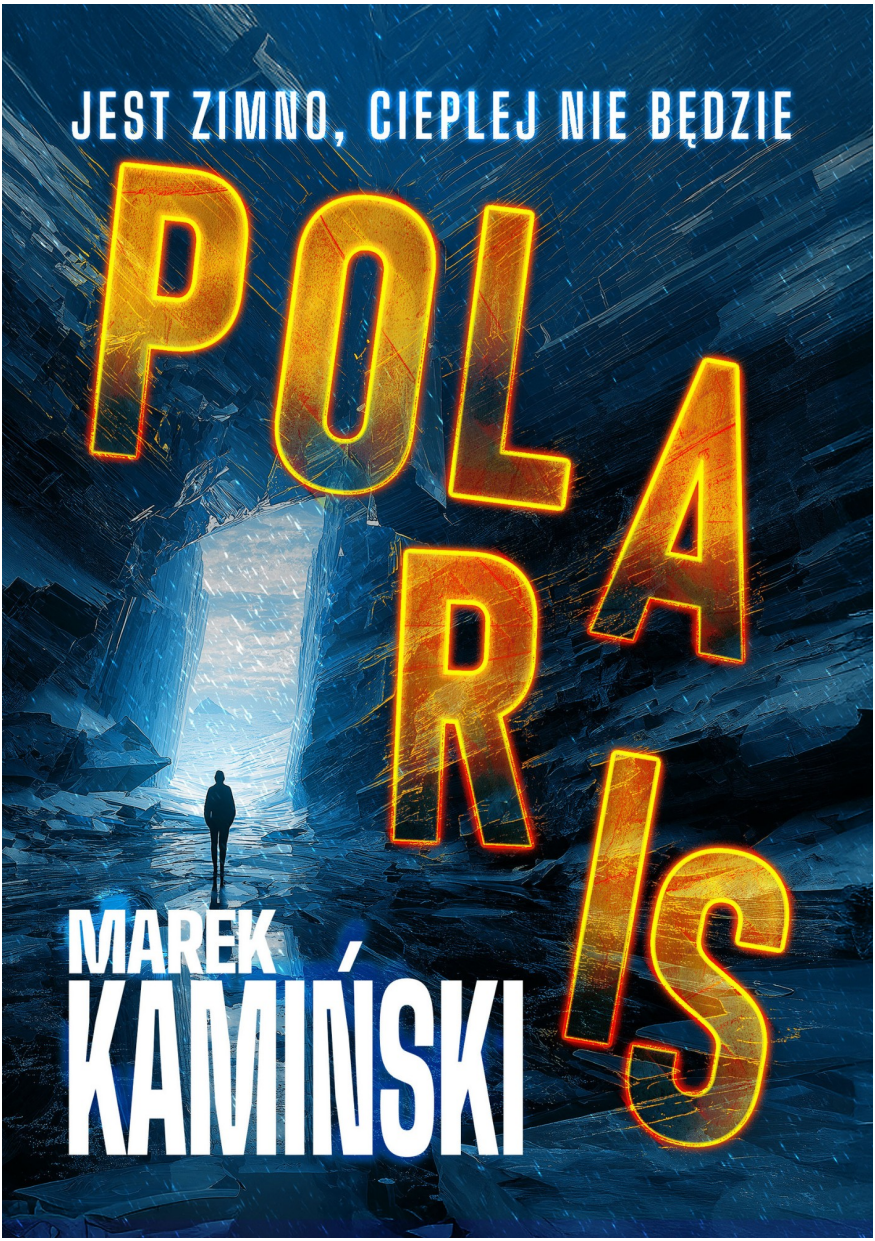

JEST ZIMNO, CIEPLEJ NIE BĘDZIE
POLARIS
MAREK
KAMIŃSKI

POLARIS

JEST ZIMNO, CIEPLEJ NIE BĘDZIE

MAREK KAMIŃSKI

Copyrights: Marek Kamiński 2024

Redakcja techniczna: Joanna Michalczuk
Opracowanie redakcyjne: Karolina Macios
Redakcja i korekta: Jowita Kostrzewa
Mapa: Martyna Czop
Opracowanie graficzne i łamanie: Krzysztof Bukowski
Projekt okładki: Igor Morski

ISBN druk: 978-83-968087-3-8
ISBN PDF: 978-83-968087-4-5
ISBN EPUB: 978-83-968087-5-2
ISBN MOBI: 978-83-968087-6-9

Haiku autorstwa Matsuo Bashō, Kyorai i Shōha cytowane w książce są w przekładzie Agnieszki Żuławskiej-Umedy i pochodzą z wydania *Haiku* Ossolineum 1983.

Swoje uwagi i przemyślenia na temat książki mogą Państwo przekazać autorowi na adres marekkaminski@kaminski.pl i/lub wydawnictwu Makami na adres adminka minski@kaminski.pl.

On rozpostarł krainę północy nad pustką,
ziemię zawiesił nad nicością.
Księga Hioba 26:7

Namiotem szarpnęło. Rob miał wrażenie, że naprężone do granic możliwości ścianki zaraz pękną i lodowaty wiatr wedrze się do środka. Zginą, wiedział o tym, ale mimo to szedł dalej. Jak długo to już trwa? Od trzech albo czterech dni, nie po trafił sobie przypomnieć, zresztą czas raz przyspieszał, raz zwalniał, drwiąc sobie z nich, i całego porządku świata. Jakiego porządku? – pomyślał Rob. Tu jest chaos, trafiliśmy w epicentrum chaosu. Potrząsnął głową. Nie podobały mu się te myśli. Coraz bardziej go męczyły od tamtego dnia, gdy zniknął Dave. A może to było wcześniej? Zadrżał.

– Zimno, co? – mruknął Grass, zaciągając mocniej kaptur.

Z wąskiej szpary w materiale patrzyły teraz na Roba oczy o niepokojąco chłodnej barwie. Nie, Rob nie czuł zimna. Miał wrażenie, że już do niego przywykł. W końcu od dawna chodził po lodowcach, śmiał się, że żaden mróz nie robi na nim wrażenia, ale wcześniej było inaczej. Wtedy nie brał pod uwagę, że mróz może...

– Żyć... – szepnął i oblizał nerwowo wargi.

Nie powinien tego robić, były suche i popękane, będą bolały jeszcze bardziej.

– Co mówisz? – Opatulona śpiworem Kathrine zwróciła głowę w jego kierunku.

Nie widział jej spojrzenia, może to i dobrze, bo zaczynał się bać, że znowu w jej oczach zobaczy to, co wtedy. Powoli gasnącą nadzieję. Dreszcz ponownie wstrząsnął jego ciałem.

Może po prostu jestem chory? – pomyślał. Tak, na pewno jestem chory. To jakaś infekcja, która objawia się tym całym... Nie dokończył, urwaną myśl porwał kolejny lodowaty podmuch. Tym razem wszyscy podnieśli głowy, nawet Mark, na którym już od dawna nic nie robiło wrażenia. Gdzieś w oddali rozległ się przeciągły jęk.

– Słyszeliście?! – zawołała Kathrine, podrywając się z miejsca.

Rob przymknął oczy. Nie chciał widzieć tego, jak zaraz kobieta uderzy o maszt, który trzymał się jedynie na słowo honoru, bo pękł już pierwszego dnia tej piekielnej burzy i sklejali go tyle razy, że nie miał prawa stać. A jednak wciąż stał z takim samym idiotycznym uporem, z jakim biegun bronił im dostępu do siebie. Rob wstrzymał oddech. Jęk powtórzył się, tym razem bliżej, ale o dziwo, namiot się nie zawalił. To Grass powstrzymał swoją towarzyszkę. Pociągnął ją razem ze śpiworem i opadła z powrotem na karimatę.

– To tylko lód – powiedział Rob. – To on wydaje takie dźwięki.

– Nie, niemożliwe! – Kathrine pokręciła gwałtownie głową. – Żaden, kurwa, lód! Tam... ktoś jest.

Westchnął. Tak się kończy zabieranie na wyprawę cywilów bez odpowiedniego przygotowania. Co oni sobie myśleli? Dlaczego zgodzili się na tę durną ofertę? Dla

kasy, to jasne, w końcu potrzebowali jej na kolejną wyprawę, ale gdyby tylko wtedy wiedział, jak to się skończy, za nic w świecie nie przyjąłby ich propozycji. Dlaczego nie posłuchał Marka?

Spojrzał na przyjaciela, który siedział naprężony jak struna i wsłuchiwał się w odgłosy dochodzące z zewnątrz. Serio? Uwierzył tej kretynce? Chyba nie sądzi, że ktokolwiek mógłby przeżyć dłużej niż sekundę w takich warunkach?

– Mówię, że to lód. Właśnie takie... – zaczął Rob, ale Mark nagle mu przerwał.

– Chyba powinniśmy zobaczyć, co to takiego – odezwał się chropowatym gło sem, nienawykłym do mówienia.

Nic dziwnego, nie odezwał się do nich ani razu, od kiedy zostali tu uwięzieni.

Kiedy to było? Dwa dni temu? A może trzy? Znów zadrżał. Sam już nie wiedział, czy męczyła go jakaś infekcja, czy najzwyklejszy w świecie strach. Bo się bał, bał się tak bardzo, że nawet potrafił się już do tego przyznać. Nie, nie bał się śmierci, z nią był oswojony. To, co budziło jego przerażenie, tkwiło tam, za ściankami namiotu. Krążyło wokół nich jak drapieżnik osaczający swoją ofiarę, delektujący się zapa chem jej strachu. Rob słyszał jego oddech w krótkich przerwach między uderze niami wiatru. Cisza zapadała dosłownie na ułamek sekundy, króciutki interwał ab solutnego bezruchu, martwej pustki, tyle że ona nie była martwa. Słyszał już wszystkie rodzaje dźwięków, jakie wydaje lód na obu biegunach, znał wszystkie re jestry wiatru, nawet te, które wykraczały poza skalę, i wiedział, po prostu czuł każdą komórką swojego ciała, że to coś, co przed chwilą usłyszeli, żyło.

Mark poruszył się.

– Ja pójdę – powiedział cicho.

Nikt nie zaprotestował.

Szarpał się przez długą chwilę z zamkiem namiotu. Suwak nie chciał puścić, jakby w końcu ostatecznie zamarzł, ale nagle drgnął. Mark przesunął go o kilka milime trów i do środka wpadł wiatr, który zaczął ich kąsać jak oszalałe, wygłodniałe zwie rzę.

– Zamknij to, zamknij! – zawołał Grass łamiącym się głosem.

Kathrine przywarła do niego całym ciałem, jakby sądziła, że w ten sposób ochroni się przed tym, co nieuniknione. Powinna przywyknąć – pomyślał Mark. Było mu jej żal. Zginie tu tak samo jak oni. Niepotrzebnie się zgodził na tę wy prawę. Kiedy przyszedł do nich Leandro Grass i zaoferował kwotę, która z nawiązką pokryje koszty kolejnej wyprawy, Mark wzruszył ramionami. Powinien być zachwy cony, podekscytowany, rozentuzjazmowany – w końcu jak na tacy dostali to, czego

potrzebowali, by znów ruszyć w świat: cholerne pieniądze, bez których nie dało się zorganizować żadnej wyprawy. Tak, powinien skakać z radości, a on nic nie poczuł. Było mu wszystko jedno.

– Nie wychodź! – zawołał Rob. – Po co się narażasz?! Przecież możesz...

Nie dokończył, ale Mark i tak wiedział, co tamten chciał powiedzieć. Widział to w jego przerażonym spojrzeniu, słyszał w rozedrganym głosie, który w ogóle do niego nie pasował. Rob zawsze był spokojny, racjonalny, rozsądny, zanim podjął ja kąkolwiek decyzję, analizował ją z każdej strony, i to po trzy razy. Najczęściej kłó cili się właśnie z tego powodu, bo choć Mark też taki był, to jednak częściej słuchał intuicji niż jego przyjaciel, nawet jeśli ta mówiła mu: „idź", gdy rozsądek kazał stać w miejscu. Ta intuicja nieraz im obu ratowała życie, choć bywały momenty, kiedy zawodziła. Cóż, w każdym razie wciąż żyli, a to chyba miało jakieś znaczenie.

Zamknął oczy i policzył w duchu do dziewięciu. Dziewiątka była jej ulubioną cy frą. Dlatego wyznaczyła datę ślubu na dziewiąty września. Śmiał się wtedy, że gdyby miesiąc miał dziewięćdziesiąt dziewięć dni, a rok dziewięćdziesiąt dziewięć miesięcy, musieliby czekać znacznie dłużej. Za długo – mówił, przyciągając ją do siebie, a ona odgarniała włosy z twarzy i rozbawiona szeptała mu do ucha: „Czasem warto trochę poczekać".

Tylko że „trochę" zamieniło się w wieczność, a on nie mógł już dłużej czekać. Po prostu nie mógł.

– Mark, co ty ro...

Ostatnie słowa Roba zmiażdżył ogłuszający huk wiatru. Mark wyskoczył z na miotu i pospiesznie zasunął suwak. Udało się, był na zewnątrz. Nie mógł już wró cić, tym bardziej że wiedział, kto czeka na niego w tym oszalałym śnieżnym świe cie. Ona. Pojawiała się i znikała, jakby bawiła się z nim w chowanego. Słyszał jej szept tak wyraźnie, jak teraz wiatr, który nie pozwalał mu iść dalej. Skulił się, po chylił głowę. Nawet gdyby zmuszony był szarżować, uderzyć w ten oślepiająco biały mur, zrobi to bez wahania.

Pogoda nie zmieniła się od dwóch dni. Gęsta mgła z wirujących wściekle ostrych drobinek lodu i śniegu nie pozwalała nic zobaczyć. Nie widział nawet własnej dłoni, gdy udało mu się podnieść ją na wysokość twarzy, by poprawić gogle. Wiatr zamienił się w dziką bestię, gryzł, szarpał, ujadał i Mark musiał walczyć z własnym ciałem, zmusić je do posłuszeństwa, bo krzyczało rozpaczliwie, żeby wrócił, żeby schował się do namiotu. Nie, nie mógł tego nie zrobić. Ona na niego czekała, była gdzieś tam, przecież ją słyszał!

Pierwszy krok okazał się najtrudniejszy. Musiał włożyć wszystkie siły w to, żeby przesunąć prawą nogę do przodu. Ważyła chyba tonę, ale się udało. Być może to za gniewane pustkowie uległo przed jego uporem, w każdym razie wpuściło go. Prze bił się przez ścianę lodu i powoli szedł przed siebie. Dyszał ciężko, był już cały mo kry od potu i prawie nie czuł zimna. Wyciągał ręce, macał powietrze, żeby nie wpaść na żadną bryłę. Jeśli trafi na jakąś szczelinę, to... cóż, wtedy będzie za późno na powrót, ale z tego, co pamiętał, zanim dwa dni temu biegun postanowił ich za bić i zamknęli się w namiocie, w najbliższej okolicy nie było szczelin. Tylko że lód mógł popękać, a oni mogli tego nie usłyszeć w ogłuszającym ryku wiatru. Kolejny krok. Gdzieś z oddali przypłynęły delikatne dźwięki muzyki. Miał wrażenie, że je rozpoznaje, ale skąd miałaby się tu wziąć fuga Bacha? To ze zmęczenia – pomyślał, bo naprawdę był potwornie zmęczony, jakby przeszedł właśnie czterdzieści kilome trów, a nie kilka metrów. Musiał iść – jeśli tego nie zrobi, zaraz osunie się na lód, a wtedy już nie wstanie. Zostanie tutaj, tak jak ci dwaj, którzy ruszyli razem z nimi, ale nigdy nie wrócą.

– *Aishiteru!*

Drgnął gwałtownie i spojrzał w prawo. Stamtąd dobiegł go ten krzyk. Jej krzyk. Słowa, że go kocha. Mark zmrużył oczy i próbował cokolwiek dostrzec. Aż trudno było sobie wyobrazić, że gdzieś tam nad jego głową jest prawdziwe słońce. Tutaj słońce nigdy nie grzało, czasem tylko wisiało nisko jak wielka czerwona kula lodu. Jak zamarznięta krew.

– Mark! Chodź do mnie...

Ruszył. Tuż przed nim powietrze zawirowało, zgęstniało. Padający śnieg zaczął formować się w coś, co przypominało mu...

– Mark... – wyszeptała.

Tak, to była ona! Rzucił się ku niej resztką sił, chciał ją złapać, zanim znów znik nie, dotknąć jej, poczuć choć przez chwilę. I wtedy właśnie stracił grunt pod no gami. Nie wiedział, co się dzieje, zanim nie poczuł w prawym biodrze przeszywają cego bólu. Dopiero wtedy odruchowo wyciągnął ręce i to zapewne go uratowało. A jednak lód pękł niedaleko nich i Mark wpadł w szczelinę. Wisiał teraz nad wodą, za pierając się rękami, ale jak długo tak wytrzyma? Przecież nikt nie przyjdzie mu z pomocą. Był tu sam i umrze sam.

Zamknął oczy. Czuł bijący z rozpadliny mroźny oddech bestii. Wierzgnął, ale przez to zsunął się jeszcze bardziej. Rękawice ślizgały się na chropowatym lodzie, słyszał, jak rękawy kurtki zaczynają pękać.

A więc to już? – pomyślał ze zdziwieniem. Zawsze wydawało mu się, że w takich chwilach ludzie czują strach, rozpacz, a on nie czuł nic. Jedynie żal, że był już tak blisko niej, tak blisko, a jednak się nie udało. Stracił ją na zawsze.

I znów wokół rozległy się dźwięki muzyki, tym razem głośniejsze, wyraźniejsze. Tak, to na pewno była Fuga C-dur Bacha, jego ulubiona. Zawsze powtarzał, że przy takiej muzyce mógłby spokojnie umierać.

Nagle powietrze pod jego stopami zafalowało, a lód wokół zaczął drżeć.

Znowu pęknie – pomyślał Mark. Szczelina się poszerzy i wtedy...

Drgnął. Wyraźnie poczuł, jak coś musnęło jego nogi. Spojrzał w dół. W ciemności, w której wirowały płatki śniegu, ledwie widział swoje kolana. Resztę pochłonął już mrok śmierci. Poruszył ostrożnie stopami. Nie, jeszcze nie umarł. Jeszcze żył. Wytężył wzrok. Znów coś musnęło jego nogi. Przestraszony krzyknął. To nie była woda ani lód, tam coś się ruszało. Chwilę mu zajęło, zanim się uspokoił. Kiedy skupił się na wyrównaniu oddechu, to coś zatrzymało się dokładnie pod nim, a on nagle poczuł, że znów ma grunt pod stopami. Nie, to nie był grunt, tylko coś żywego. Mark miał wrażenie, że stoi na grzbiecie wielkiego zwierzęcia.

Ale to przecież niemożliwe, w tych warunkach nie przeżyłoby żadne zwierzę – myślał gorączkowo. Co to jest?!

Cokolwiek to było, musiało się unieść, bo nagle zorientował się, że wysuwa się ze szczeliny. Serce waliło mu tak głośno, że nie słyszał nic innego, nawet wiatru, który kąsał mu twarz. Wynurzał się powoli, ale tak, na pewno był coraz bliżej powierzchni. Jeszcze tylko kilka centymetrów i będzie w stanie wspiąć się na lód. Przeżyje!

Nadzieja miała smak adrenaliny – zalała mu usta i musiał powstrzymać się, żeby nie krzyknąć, tym razem z radości. Bał się, że spłoszy to, co pospieszyło mu na ratunek. Albo, że gdy to coś zorientuje się, że on żyje, z wybawcy stanie się drapieżnikiem. Zacisnął wargi i modlił się w duchu, by jak najszybciej krawędź zapadliska znalazła się na wysokości jego pasa, bo wtedy mógłby się już wciągnąć na lód. I odsunąć jak najdalej od tego stwora.

A jednak, gdy runął na plecy i pospiesznie podciągnął nogi, to kiedy poczuł pod sobą bezpieczny grunt, wcale nie uciekł. Leżał tam jak zaczarowany, wpatrując się w szczelinę. Przestał oddychać, gdy wyłonił się z niej wierzchołek bryły lodu. Więc to nie było zwierzę? Mark przełknął palące uczucie rozczarowania, a może ulgi – sam już nie wiedział. Nie odrywał wzroku od białej bryły, która z wolna sunęła w górę.

To musi być jakaś anomalia, przecież wypiętrzenie lodu nigdy nie zachodzi tak szybko. Chyba że coś wypchnęło go od dołu. Ciśnienie? – myślał. Skoro tak, po winni się stąd zwijać. Równie dobrze szczelina zrobi się pod ich namiotem, a wtedy już nic ich nie uratuje. Tak, musiał się ruszyć, ostrzec resztę.

Podnosił się z trudem. Drżały mu wszystkie mięśnie, a ręce paliły od nadmier nego wysiłku. Oddech parował i momentalnie zamieniał się w drobinki lodu, które uderzały go w twarz gnane podmuchem wiatru. Kręciło mu się w głowie z wyczer pania, przed oczami wirowały czarne plamy. Schylił się i oparł dłonie na kolanach. Nie mógł teraz zemdleć, nie teraz, gdy wyszedł z tego cały. Nagle wiatr osłabł, prze stał go popychać i Mark znów usłyszał ten sam jęk, co wcześniej. To ona? Wróciła? Spojrzał przed siebie, prosto na rozpadlinę, z której patrzyły na niego czyjeś oczy. Oczy osadzone w bryle lodu.

Krzyknął i wtedy bryła błyskawicznie się uniosła. Była ogromna, potężna, a mimo to poszybowała w górę zwinnie niczym kot. Osłupiały patrzył na białe ciel sko, które owinęło się wokół niego, odcinając mu drogę ucieczki. To nie był lód, to coś miało miękkie białe futro, a pod nim kryło się życie. Pulsowało, drgało, coraz szybciej i szybciej, jakby dopasowując się do rytmu jego oddechu. Nie, to niemoż liwe – powtarzał Mark w duchu jak mantrę. To niemożliwe. To nie dzieje się na prawdę.

A jednak się działo. Bestia znieruchomiała, zniżyła łeb, który wcześniej wziął za bryłę lodu, i przez moment ich oczy znalazły się na tej samej wysokości. Jej były ogromne, białe jak wszystko wokół. I puste, przeraźliwie puste.

A potem powietrze zafalowało i zniknęła. Mark potrząsnął głową i przetarł oczy. Był mokry od potu, kolana mu się trzęsły. To pewnie zwykła halucynacja, przywi dzenie, które zesłał mu wyczerpany organizm albo ten cholerny biegun.

Albo jedno i drugie – pomyślał, rozglądając się wokół niepewnie. Wiatr rzeczywi ście ucichł, widoczność się poprawiła. Widział stąd nawet zarys namiotu, stop niowo ciemniejącą plamę na oślepiająco białym tle. I żadnej bestii. Tak, to musiało być tylko przywidzenie – z tą myślą powlókł się z powrotem.

Tym razem droga wydawała się znacznie dłuższa, ledwie żył ze zmęczenia, gdy odsunął suwak i wszedł do namiotu. Kathrine i Grass siedzieli przytuleni do siebie, Rob miał przeraźliwie bladą twarz, gdy przesuwał wzrokiem po ciele przyjaciela, sprawdzając, czy jest cały, czy nic mu się nie stało. Mark zwalił się na karimatę i bez słowa wsunął się w ubraniu do śpiwora. Drżał z zimna.

– I co... co tam widziałeś? – zapytał po chwili Grass.

Długo zastanawiał się nad tym, co odpowiedzieć. W końcu podniósł się na łok ciach, spojrzał na nich i powiedział chrapliwie:

– Nic. Zupełnie nic.

Bo co miał powiedzieć? Że właśnie zobaczył ninguna czy cokolwiek tam było? Zamknął oczy i potrząsnął głową. Czy on naprawdę właśnie to pomyślał? Ningun? Boże, jęknął w duchu. Gdyby tylko wiedział, że to się tak skończy, za nic nie zgo dziłby się na tę wyprawę. Mógł posłuchać swojej intuicji, przecież od początku czuł, że to fatalny pomysł. Że zabieranie na biegun tych dziwnych ludzi, z których zostało już jedynie dwoje, oznacza same kłopoty.

Wrócił myślami do tamtego dnia, kiedy to wszystko się zaczęło. Kiedy siedzieli z Robem i snuli odległe plany... Nie, to Robert je snuł, on, Mark, nie miał żadnych pla nów, żadnych marzeń, nic, co warte byłoby zrealizowania. I właśnie tamtego dnia, bez zapowiedzi, pojawił się Leandro Grass.

Rozdział pierwszy
SAMOTNY DUCH

Kono michi-o
yuku hito nashi-ni
aki-no kure

Już nikt nie idzie
tą naszą drogą pustą
wszedł zmierzch jesienny
Matsuo Bashō

Dziennik Marka Steinera
Orłowo, 2 sierpnia

Przypomniało mi się dzisiaj to haiku. Misaki bardzo lubi Bashō i zawsze się śmiała, że nic z tego nie rozumiem.

W twojej duszy nie ma miejsca na japońską poezję – mówiła.

W mojej duszy już w ogóle na nic nie ma miejsca, odkąd odeszła.

Kiedyś wierzyłem, że samotność, pustka dają nadzwyczajną siłę. Przemierzyłem tyle dróg, przeszedłem niemal cały świat i nigdy nie czułem się przy tym samotny. Nie brakowało mi towarzystwa innych ludzi, może dlatego, że prędzej czy później do nich wracałem. Przechadzka samotnego marzyciela – tak to nazywała. W *Kusamakurze*, powieści Sōsekiego Natsume, którą mi podarowała, napisała, że jestem wiecznym wędrowcem, samotnym duchem.

Miała rację. Tylko duchy nie mają już do kogo wracać.

Kiedy ciszę panującą w domu przeciął ostry dzwonek domofonu, Robert ze zdziwieniem podniósł głowę i spojrzał na przyjaciela. Ten wzruszył ramionami.

– Pewnie listonosz – mruknął.

To musiał być listonosz, bo nikogo innego się nie spodziewał. Potencjalni klienci zawsze najpierw pisali maile albo kontaktowali się telefonicznie, żeby umówić się na spotkanie. Znajomi tym bardziej – nikt nie wpadał niezapowiedzianie, bo Marka raczej trudno było zastać. A przynajmniej tak to wyglądało jeszcze do niedawna, bo ostatnio głównie siedział w domu, chowając się przed całym światem i udawał, że go nie ma. Przynajmniej Kropka była szczęśliwa, bo Przecinek i tak chadzał wła snymi drogami, jak to kot. O dziwo, ta dwójka od początku świetnie się dogady wała. Przecinek pojawił się pierwszy – Mark przywiózł go z jednej z wypraw, a Kropka przyszła sama. Pewnego ranka, gdy wrócił z biegania po plaży, po prostu stała przed bramą domu i machała króciutkim ogonkiem. Mały biały psiak z ró żową plamką koło oka, bez obroży ani chipa. Kiedy otworzył furtkę, wbiegła do ogródka i skierowała się do drzwi domu. Jeszcze tego samego dnia wywiesił na or łowskich uliczkach kartki z informacją o psiej przybłędzie, ale nikt się nie odezwał.

No i została.

Kropka na dźwięk dzwonka podniosła łeb i zastrzygła uszami, a potem zesko czyła mu z kolan i ruszyła ku drzwiom, szczekając zawzięcie. Nie miał wyjścia, mu siał odebrać. Podniósł się niechętnie z fotela i podszedł do domofonu.

– Tak?

– Czy to pan Mark Steiner? – odezwał się po angielsku męski głos, którego nie kojarzył.

– Tak – westchnął. – O co chodzi?

Miał nadzieję, że to nie żaden niewydarzony dziennikarzyna, który, zamiast umówić się wcześniej jak człowiek, będzie próbował wepchnąć mu się do domu i przeprowadzić z nim wywiad. A może to ktoś... od niej? – pomyślał z nagłym niepo kojem.

– O pana firmę, Complexity Kills – dodał mężczyzna z lekkim rozbawieniem w głosie. Wielu klientów ta nazwa bawiła, przynajmniej dopóki nie skorzystali z usług Marka i nie pojechali z nim na jedną z ekstremalnych wypraw. Tam bardzo szybko na własnej skórze odczuwali głęboki sens ukryty w tej nazwie. – Wiem, że powinienem najpierw się umówić, ale wpadłem do Gdyni i pomyślałem, że od razu przedstawię panu propozycję związaną z wyprawą.

Mark się zawahał. Gdyby był sam w domu, pewnie powiedziałby, że ma wypeł niony grafik na kolejne dwa lata i nie jest zainteresowany, ale tego ranka przyszedł do niego Robert, jego wspólnik, by obgadać kolejną wyprawę, a teraz wyglądał z po koju i przysłuchiwał się z zaciekawieniem rozmowie. Tylko dlatego Mark wcisnął przycisk zwalniający blokadę furtki i poszedł otworzyć drzwi. Najchętniej wyszep

tałby w progu, że nie mają wolnych terminów i że może polecić innego przewodnika, ale przecież nie mógł tego zrobić Robertowi. Od czasu ich ostatniej wspólnej wyprawy minął już rok i wtedy właśnie podjęli decyzję, że następnym razem ruszą na Antarktydę. Taki wyjazd wiązał się, oczywiście, z wielkimi kosztami, odkładali więc kasę z komercyjnych wypraw i szukali sponsorów. Mark zawsze marzył o Antarktydzie, ale potem poznał Misaki i... wszystko się zmieniło.

Kropka szczekała zawzięcie, ale gdy tylko gość wszedł do domu, zaczęła się do niego łasić. Nie nadawała się na psa stróżującego, miała zbyt życzliwe nastawienie do świata.

Mężczyzna uśmiechnął się z dezaprobatą na widok białego psiaka ocierającego się o jego nogi. Pewnie dlatego, że ubrany był w doskonale skrojony czarny garnitur, na którym każdy psi włos zostawiał widoczny ślad.

No i masz za swoje. Trzeba było najpierw zadzwonić – pomyślał Mark i gestem zaprosił gościa do gabinetu, który pełnił funkcję biura Complexity Kills.

Rob stał już w progu z szerokim uśmiechem. Wyciągnął dłoń na powitanie i odezwał się po angielsku:

– Witamy w naszej firmie! Jestem Robert Granek, wspólnik Marka Steinera. Kawy? Herbaty? A może czegoś zimniejszego?

Znad ramienia mężczyzny posłał Markowi znaczące spojrzenie. Zawierało kilka komunikatów jednocześnie: bądź milszy, zajmij się klientem oraz chyba masz w domu coś do picia?

– Leandro Grass – przedstawił się gość i uścisnął dłoń Roba. – Bardzo mi miło. I dziękuję, ale właśnie byłem na kawie w Gdyni. Ładne miasteczko.

Miasteczko! – zżymał się w duchu Mark. Co za bufon!

Przyglądał mu się bez słowa. Koło czterdziestki, umięśniony, drogi garnitur, buty tyle warte, co bilet na porządną linię lotniczą do Australii, bujne, opadające na czoło ciemne włosy, śniada karnacja i przenikliwe jasnoniebieskie oczy. Ten zestaw kolorystyczny nieco go zdziwił – Grass wyglądał jak zderzenie południa i północy. Nie miał nic przeciwko takim połączeniom, sam był synem Japonki i Polaka, ale w tym gościu było coś odpychającego, tylko jeszcze nie wiedział co.

– Nie chciałbym zajmować panom za wiele czasu, tym bardziej że wpadłem bez zapowiedzi. Zatem, jeśli pozwolicie, przedstawię wam pokrótce moją propozycję – dodał Leandro i już chciał usiąść na fotelu, gdy dojrzał na nim sierść Kropki.

Rozejrzał się po gabinecie. Masywne ciemnobrązowe biurko, obłożone książkami, na jednej ścianie tapeta do złudzenia wyglądająca jak fresk, tyle że z krajobrazem jakiejś tropikalnej wyspy, regały z książkami, kominek obstawiony rzeźbami i

zdjęciami w ramkach, a na drewnianej podłodze, niczym tor przeszkód, rośliny w wielkich donicach i kolejne... Hm, rzeźby? – pomyślał, niepewnie przyglądając się owalnej ramie z drewna, na którą naciągnięto brązową, miejscami popękaną już skórę.

– To *quilaut* – wyjaśnił pospiesznie Robert, gdy tylko zorientował się, że Mark za łożył ręce na piersi i milczy wyczekująco. – Tradycyjny bęben Inuitów. W czym możemy panu pomóc? – zapytał Mark, po czym wskazał dłonią krzesło przy biurku, a sam przysiadł na zydlu.

Leandro zajął miejsce i popatrzył na Roba, który z trudem ukrywał entuzjazm na myśl o bogatym kliencie, oraz na Marka, który beznamiętnie przyglądał mu się spod zmrużonych powiek.

– Chodzi o wyprawę na biegun. Biegun północny. Chciałbym, żebyście mnie tam zabrali.

– Zwariował – mruknął Mark, przechodząc na polski, kiedy wspólnik posłał mu roz radowane spojrzenie, i to było jedyne, co powiedział podczas pierwszego spotkania z Leandro Grassem, bo ciężar rozmowy przejął na siebie Robert.

Z każdym słowem wypowiadanym przez gościa czuł falę energii, która opływała całe jego ciało. Miał ochotę zerwać się z miejsca i tańczyć z radości, ale był profesjo nalistą. Podobnych rozmów odbył już wiele, nie wszystkie kończyły się wyprawą. Część osób, gdy tylko zaczynała się orientować, jakie trudności wiążą się z takim wyjazdem, po prostu rezygnowała, część zmieniała plany w trakcie podróży i wra cała do domu pierwszym lepszym samolotem, ale te osoby, które się nie podda wały, przeżywały dzięki nim najwspanialsze chwile w swoim życiu. Bo na tym to przecież polegało – Mark i Rob oferowali nie tylko swoje usługi jako przewodnicy i opiekunowie w trakcie wyprawy, nie tylko organizowali wszystko od początku do końca, ale, co najważniejsze, pokazywali klientom, jak odkryć samego siebie pod czas podróży w trudno dostępne zakątki świata. Przejście przez pustynię, marsz po lodowcu, przedzieranie się przez tropikalne puszcze i eksplorowanie wygasłych wulkanów – to nie była oferta wycieczek z agencji podróży, tylko odnajdywanie prawdy o naturze i o sobie. Tak właśnie od początku myślał o tym Mark, kiedy za kładał firmę i organizował pierwsze wyjazdy, a gdy Robert do niego dołączył, mu siał się dostosować. Trochę go śmieszyło to całe odkrywanie prawdy o sobie w przypadku bogatych biznesmenów, którzy sądzili, że jak przejdą się po pustyni Gobi i zapozują do zdjęcia na tle namiotu, staną się bogatsi duchowo. Zresztą, może i tacy właśnie się stawali – to już nie była jego sprawa. On miał ich odpowiednio

przygotować, zorganizować wyprawę, a potem robić wszystko, żeby dotarli do końca trasy. Nadawał się do tego, jak mało kto, i Mark dobrze o tym wiedział. Jego akurat męczyła ta ostatnia część: motywowanie klientów, zabawianie ich i uświadamianie im, że udali się w podróż życia. Gdyby tylko mógł, szedłby sam albo z Robem, bo tak właśnie ładował swoje życiowe baterie. Kiedy pałętało się wokół nich kilku „cywili", jak nazywali niewprawionych w trudach wypraw klientów, musiał poświęcać im dużo energii, a to na dłuższą metę go męczyło. Dlatego właśnie zaproponował Robowi dołączenie do firmy – oczywiście w roli wspólnika. Znali się już trochę, ufali sobie bezgranicznie, przyjaźnili się i jako że, przynajmniej pozornie, stanowili swoje przeciwieństwa, świetnie się uzupełniali. W przypadku wypraw komercyjnych Mark brał na siebie ciężar przygotowań do wyprawy, Rob opiekę nad klientami w jej trakcie, zaś całą resztą dzielili się po równo.

Tym razem najwyraźniej wszystko miało spocząć na barkach Roberta, ale nie przejmował się tym. Miał swój cel: Antarktydę, a gdy człowiek wie, dokąd chce dojść, poradzi sobie z najtrudniejszą drogą. Dlatego słuchał uważnie Leandra Grassa, próbując wyczytać między słowami jego prawdziwą motywację. Nieczęsto zdarzali im się klienci, którzy chcieli iść na biegun północny – właściwie to jeszcze nigdy, zupełnie jakby biegun wydawał im się zbyt nudny w porównaniu z Mount Everestem, Saharą czy Andami, a jednak nie spytał go, dlaczego akurat biegun. Wiedział, co usłyszy: że to zawsze było jego marzenie, że obiecał sobie zrobić w życiu coś ważnego, że chciałby poznać prawdę o sobie... Klienci zawsze recytowali to niczym mantrę, nieważne, dokąd się wybierali, gdy tak naprawdę chodziło o odtrutkę na nudne życie. Robert coś o tym wiedział – był prawnikiem, zajmował się prawem nowych technologii i spędzał długie godziny jako konsultant przeróżnych firm, doradzając, weryfikując, a często i bezlitośnie niszcząc projekty tych wszystkich napalonych młodziaków w gajerkach albo hipsterskich T-shirtach, którzy nigdy nie wychodzili z pracy. Tkwili w niej od świtu do nocy, robili krótkie przerwy na siłkę, lunch i seks, a potem znów wracali do kieratu. Rob też kiedyś taki był, ale w porę się opamiętał. Lubił swoją pracę, kochał jednak co innego – podróżowanie, odkrywanie, zmaganie się z samym sobą. Uwielbiał wyzwania, miał całą listę, a właściwie dwie listy: jedną z miejscami, które już zaliczył, drugą z tymi, które wciąż na niego czekały. To był właśnie jego sposób na ładowanie baterii – dzięki temu mógł wrócić na chwilę do normalnego trybu i planować kolejny wyskok. Miał też coś jeszcze, coś, co nadawało jego życiu głębszy sens: lód. Od dwóch lat był zaangażowany w działalność misyjną Ice Legacy, projektu prowadzonego przez dwóch polarników: Børge Ouslanda i Vincenta Colliarda, którzy podczas ekspedycji zbie

rali na lądolodach próbki dla instytutów naukowych i monitorowali stan pokrywy lodowej, a wiadomo, co się z nią ostatnio działo... Wiele rzeczy można było powie dzieć o Robercie, i z większości z nich zdawał sobie sprawę, na przykład z tego, że boi się angażować, więc nie przyjmuje żadnych propozycji pracy na etat ani nie wiąże się z nikim na dłużej, że podejmując te wszystkie wyzwania, próbuje udowod nić coś samemu sobie, że stawia czoła tysiącu różnych niebezpieczeństw podczas wojaży, bo tak naprawdę ucieka przed własnymi problemami – tak, oczywiście, że o tym wiedział, na coś mu się przydały te lata spędzone na terapii, ale jedno było pewne: kochał naturę, czcił ją niemal bałwochwalczo i nic nie liczyło się dla niego bardziej niż lód. Chłopaki z Ice Legacy szybko rozpoznały w nim swojego i powierzyły mu prawną opiekę nad wszystkimi projektami z Europy.

Właśnie myślał o tym, jaką minę zrobią, gdy powie im o wyprawie na biegun pół nocny, o którym marzył już od dawna, bo jeszcze tam nie był, w przeciwieństwie do Marka, gdy nagle usłyszał:

– W wyprawie oprócz mnie wezmą jeszcze udział trzy osoby. Zapewniam, że wszyscy mamy świetną kondycję. Przygotowujemy się już od dłuższego czasu, tre nujemy pod okiem profesjonalistów. – Leandro przygładził lok, który uparcie opa dał mu na czoło.

Rob pomyślał, że Grass jest nawet całkiem przystojny. Szkoda, że heteryk – wes tchnął w duchu i uśmiechnął się szeroko.

– Świetnie. Dobrze słyszeć, że dbacie o formę, ale i tak czeka was specjalistyczny trening. Do takiej wyprawy trzeba być diabelnie dobrze przygotowanym – dodał i zerknął na Marka, który nawet nie drgnął.

Zaczynał go już irytować. Z pewnością miał powody, żeby zachowywać się jak dzieciak, któremu z wafelka spadła gałka loda, ale na miłość boską, tu chodziło o kasę na ich wyprawę! Mógłby się chociaż trochę postarać!

– Mark – powiedział cicho Rob. – Co o tym sądzisz?

Steiner przeniósł ciężkie spojrzenie z Leandra na Roberta i wzruszył ramionami. Rob z trudem powstrzymał się przed kąśliwą uwagą. Zwrócił się znów do Grassa:

– Zdaje pan sobie sprawę, że taka wyprawa wymaga również podpisania przez państwa odpowiedniej umowy? Każda tego rodzaju eskapada wiąże się ze sporym ryzykiem, ale w przypadku trasy na biegun północny... Cóż, tu skala niebezpieczeń stwa jest, że tak powiem, nieco większa.

Mężczyzna w eleganckim gajerku wygładził fałdkę na marynarce.

– Oczywiście – odparł ze spokojem. – Podpiszemy wszystko, co zechcecie. Cieszy cie się renomą w środowisku globtroterów, więc mamy do was pełne zaufanie.

Wiem również, że większa skala niebezpieczeństwa oznacza wyższe honorarium. Proponuję sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Od osoby.

Rob zamrugał.

– Czyli mówimy o kwocie... – zaczął, a Grass się roześmiał.

– Twardy z pana negocjator – powiedział z uznaniem. – No dobrze, zaokrąglijmy więc. Trzysta tysięcy dolarów za to, że zabierzecie nas na wyprawę na biegun pół nocny. Tak szybko, jak się da.

Rozdział drugi
TAM JUŻ NIE WRÓCĘ

Kiedy Robert odprowadził Grassa do wyjścia, mocno uścisnął mu dłoń, a potem zamknął za nim drzwi i roześmiał się głośno. Kropka szczeknęła przez sen i poruszyła łapkami, ale dalej spała zwinięta w kłębek na kolanach Marka.

– Wyobrażasz to sobie?! – zawołał Rob, wpadając do gabinetu. – To jak spełnie nie naszych marzeń! Machniemy z nimi ten biegun, a potem możemy szykować się do wyprawy na Antarktydę!

– Obudzisz ją – mruknął Mark i wspólnik zatrzymał się w pół kroku.

– Stary, właśnie z nieba spadła nam kasa – powiedział powoli. – Kasa, której po trzebujemy. Przecież trzysta tysięcy dolców bez problemu pokryje koszty naszej wyprawy.

Steiner podniósł głowę i popatrzył na niego przeciągle. Proste czarne włosy i lekko skośne ciemne oczy to jedyne, co odziedziczył po matce Japonce. Była ni ziutką filigranową dziewczyną, i taka właściwie pozostała do samego końca. Jedno ze zdjęć stojących na kominku pokazywało ją i ojca Marka w dniu rocznicy ślubu – ostatniej, jaką obchodzili, bo tego samego roku zginęli w wypadku lotniczym w Ro sji. Niewielki samolot, którym lecieli do Nelkan w Kraju Chabrowskim, z niewyja śnionych powodów rozbił się tuż przed lądowaniem. 15 listopada 2017 roku, o ile Robert dobrze pamiętał. Nie znali się jeszcze wtedy z Markiem, ale usłyszał od niego opowieść o tamtym felernym roku podczas ich wspólnej wyprawy na lodo wiec Hansa. Zerknął na rocznicowe zdjęcie – Aiko miała wtedy sześćdziesiąt lat, a wciąż wyglądała jak młoda dziewczyna. I chyba nadal była zakochana w Tomaszu Steinerze, bo patrzyła na niego tak, jak Mark patrzył na swoją dziewczynę, kiedy przedstawiał ją wspólnikowi. „Stary, wpadłeś po uszy" – powiedział mu wtedy Rob i poczuł lekkie ukłucie niepokoju. Wizja, że Mark zakocha się na amen, założy ro dzinę i osiądzie w domowych pieleszach, oznaczała koniec ich szalonych eskapad. Na początku jeszcze pocieszał się tym, że przecież tych dwoje poznało się w Japo nii, którą Mark uwielbiał ze względu na swoją matkę, że Misaki mieszka w Tokio, a

on w Orłowie, i że żadne z nich nie chce zmieniać adresu, a poza tym, kto przy zdro wych zmysłach zamieniłby stolicę Kraju Kwitnącej Wiśni na zapyziałą mieścinę w Polsce? Poza samym Robem, oczywiście, ale on najwyraźniej stanowił wyjątek, bo nie znał nikogo, kto by, tak jak on, nie znosił wielkich miast, tłumu i cywilizacji. Bez wahania oddałby wszystko, żeby zamieszkać na lodowcu. No, może oprócz seksu, bo tam raczej trudno znaleźć kochanka.

Potrząsnął głową, odrywając się od tych myśli, i westchnął ciężko.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi. Od dłuższego czasu trudno do ciebie dotrzeć. Okej, rozstałeś się z Misaki, masz prawo czuć się źle, może nawet wpaść w coś w ro dzaju depresji. Ale to nie może trwać wiecznie! Musisz się w końcu pozbierać – po wiedział. – Przecież chcesz jechać na Antarktydę, prawda? Zawsze o tym marzyłeś, tak jak ja. A dzięki kasie od tego całego Grassa możemy tam pojechać. – Urwał na chwilę i przyjrzał mu się uważnie. – Chcesz jechać, prawda? – zapytał niepewnie.

W przedłużającej się ciszy słychać było jedynie posapywanie Kropki. Mark mil czał, nie odwracając wzroku od przyjaciela, a to mówiło więcej niż najbardziej na wet dosadne słowa.

Rob podszedł bliżej i usiadł na krześle, na którym przed chwilą siedział Grass.

– Posłuchaj – zaczął powoli. – Nie rezygnuj z tego wszystkiego – zatoczył ręką, pokazując nie tyle gabinet, co na wszystkie obrazy, rzeźby i instrumenty przywie zione przez Marka z wypraw – tylko dlatego, że masz teraz słabszy czas. Kryzysy to naturalna rzecz w życiu, zdarzają się każdemu, trzeba je po prostu przetrwać. Od puszczę ci ten biegun, znajdę kogoś innego, kto już tam był, bo sam z cywilami nie wybiorę się w takie miejsce. Kasy dostaniemy tyle, że nawet jak się podzielimy z innym przewodnikiem, starczy nam na Antarktydę. Ale musisz mi obiecać jedno: że z niej nie zrezygnujesz.

Steiner zmrużył oczy. Wpatrywał się w niego tak intensywnie, że Robert musiał odwrócić wzrok.

Z niej? – pomyślał Mark. Jak mógłbym z niej kiedykolwiek zrezygnować? Ona jest miłością mojego życia. Była...

Zacisnął powieki, żeby powstrzymać napływające łzy. Nie radził sobie. W ogóle sobie nie radził, odkąd jej zabrakło. Nie mógł tego zrozumieć. Jakim cudem wystar czyło, by zniknęła z jego życia, żeby wszystko się posypało? Żeby to, co dotąd miało dla niego sens, tak po prostu wyparowało? Był jeszcze młodym człowiekiem, a przynajmniej takim się czuł, miał w końcu dopiero trzydzieści siedem lat i wie dział dobrze, co na niego czekało. Podróżowanie po świecie nauczyło go nie oczeki wać zbyt wiele, nigdy nie nastawiał się na to, że będzie szedł najłatwiejszymi ścież

kami, że zawsze będzie z górki, a nie pod, zawsze z wiatrem, z prądem rzeki. Nie, on wolał wdrapywać się na najwyższe szczyty, brnąć pod wiatr, płynąć w górę rzeki, bo tak było ciekawiej, mocniej, głębiej, intensywniej. Nie wiedział, jakiego słowa użyć, zresztą nie chodziło o słowa, tylko o doznania, przeżycia, o to, co czuł, o sens życia. Kiedy był w drodze, czuł się pełny siebie, pełny świata, pełny natury – sens miał na wyciągnięcie ręki. Potem pojawiła się Misaki, i nagle odkrył, że przy niej czuje się tak samo, a jeszcze później okazało się, że to uczucie zniknęło. Po co więc miałby znów ruszać w trasę, myśleć o kolejnej wyprawie, skoro to i tak nie miało sensu.

Kiedy Mark zamknął oczy, Robert odczytał to jako znak zgody. Uśmiechnął się z ulgą.

Czyli Antarktyda nie jest stracona – pomyślał. Teraz muszę tylko znaleźć kogoś, kto pojedzie ze mną na biegun...

– Marek... – szepnął Mark, któremu zrobiło się żal przyjaciela i tego, że zostawia go, nomen omen, na lodzie. – Spróbuj z Markiem Kamińskim. Dawno tam nie był. Może go namówisz.

Rob zadzwonił do Marka Kamińskiego wieczorem. Poznał go tego samego dnia, kiedy spotkał Marka Steinera. To było dość zabawne, bo jakie jest prawdopodobieństwo, że na jednej z odludnych wysp Japonii, Aogashima, na skrzyżowaniu wpadnie się na dwóch innych Polaków? Minimalne, a jednak każdy z nich szedł sam, jedynie w towarzystwie wypchanego plecaka, i nagle znaleźli się w tym samym miejscu i czasie, zupełnie jakby kierowała nimi jakaś kosmiczna siła. Mark od razu poznał Kamińskiego – w Polsce był na jednym z jego wykładów, czytał jego książki, a poza tym okazało się, że są niemal sąsiadami, i kiedy zaczęli mówić po polsku, Rob roześmiał się głośno. Tamci spojrzeli na niego badawczo, zastanawiając się, kim jest ten zaśmiewający się młody, wysoki i chudy jak szczapa koleś w markowych ciemnych okularach, jakich w życiu nie założyłby żaden szanujący się podróżnik. Dopiero, gdy Robert wykrztusił z siebie: „No nie wierzę, normalnie nie wierzę...", również zaczęli się śmiać. Spędzili na tamtym skrzyżowaniu ścieżek cały dzień, rozbili obóz i przegadali pół nocy, a rankiem każdy z nich poszedł swoją drogą. Tydzień później Rob i Mark wpadli na siebie jeszcze raz, w Tokio, i razem wrócili do Polski, a w Warszawie na lotnisku okazało się, że razem zmierzają również do domu, bo Robert mieszkał na gdańskiej Zaspie, raptem jedenaście kilometrów od Marka. Tak dobrze im się rozmawiało i milczało w swoim towarzystwie, że postanowili wyruszyć na lodowiec Hansa. I chyba właśnie tam, tak, na pewno tam – Rob był tego pe

wien – zaczęła się ich przyjaźń. Od tamtej pory kilka razy widzieli się z Markiem Ka mińskim, zazwyczaj spotykali się z nim przed jakąś wyprawą, żeby obgadać różne wersje trasy albo dopytać o szczegóły, bo informacje z pierwszej ręki były bez cenne. Dlatego teraz bez wahania sięgnął po telefon, wybrał numer Kamińskiego, i podszedł do okna. Zza chmur wyłonił się księżyc, ostre białe światło padło na ko rony drzew na dole. Robert mieszkał na ostatnim piętrze wieżowca, czego pożało wał pierwszej jesieni, którą tu spędził. Przeprowadził się z parteru jednego z wście kle kolorowych zaspiańskich bloczków, i choć na plażę miał zaledwie kwadrans spa cerem, to jednak brakowało mu widoku morza z okien. A później jego znajomy po stanowił sprzedać mieszkanie na dwunastym piętrze w nowym bloku, rzut bere tem od niego, i Rob nawet się nie zastanawiał. „Wiesz, trochę tam wieje" – ostrze gał go lojalnie znajomy, ale okna wychodziły na park, a z balkonu widać było mo rze. Co oznacza „trochę wieje", Robert przekonał się pierwszej jesieni wraz z na dejściem sztormów. Nie spał przez miesiąc – z drzemek co chwilę wybudzała go wi chura, która próbowała wyrwać okna i łomotała w ściany, a później po prostu się przyzwyczaił. W końcu człowiek może się przyzwyczaić do wszystkiego.

– Cześć Robercie! – usłyszał w słuchawce. – Dokąd teraz was niesie? – zaśmiał się Marek.

– Właściwie to tylko mnie, bo Mark tym razem zostanie w domu – Robert wyja śnił ostrożnie, niepewny, czy Kamiński wie cokolwiek o obecnym nastroju Ste inera, ale ten najwyraźniej wiedział, bo chrząknął cicho i rzucił:

– Może to i lepiej. Powinien najpierw poskładać się do kupy.

Rob westchnął. Sam by tego lepiej nie ujął.

– I właśnie dlatego do ciebie dzwonię, Marku. Mam dla ciebie propozycję wyjaz dową. Jadę z czworgiem klientów na wyprawę. Są raczej dobrze przygotowani i zmotywowani, nie zrezygnują po dziesięciu minutach, a naprawdę dobrze płacą. Za kładam, że wyruszymy dopiero za pół roku, bo jednak muszą zaliczyć porządny tre ning, wyprawa potrwa dziesięć dni, góra dwa tygodnie.

– Za pół roku, mówisz... Poczekaj, sprawdzę tylko swój grafik.

Rob usłyszał szybkie uderzenia palców w klawiaturę.

– Kwiecień niestety mam zajęty, ale marzec jest wciąż dość luźny. Nie, zaraz, na początku marca mam kilka spotkań i konferencję, czyli od siódmego byłbym wolny. I chętnie bym gdzieś wyskoczył na dwa tygodnie, naładować baterie – za śmiał się Marek. – O ile oczywiście ci wasi klienci nie zatrują nam życia. Kim oni właściwie są? Początkujący podróżnicy czy cywile?

– Raczej to drugie. Na razie poznałem tylko jednego z nich, biznesmena. Jest Niemcem albo Argentyńczykiem, albo jednym i drugim. Leandro Grass, wysporto wany, pewny siebie, ale spokojnie, nie bucowaty. No i szasta kasą. Dostałbyś za to sto tysięcy dolarów.

W słuchawce na moment zapadło milczenie.

– Ile? Mówisz poważnie? To gdzie on chce jechać?

– A, właśnie, o tym ci nie powiedziałem. Tu będę liczyć na wszystkie wskazówki, jakie możesz mi dać, bo tam akurat jeszcze nie byłem, a ty już znasz to miejsce jak własną kieszeń.

– Chłopie, ja czasami gubię się we własnych kieszeniach – zachichotał Marek. – No to dokąd w końcu ta wyprawa?

– Na biegun północny.

Gdy tylko Robert wypowiedział te słowa, poczuł, że coś się zmienia. Zupełnie jakby znad morza nadciągał wiatr i lada moment miał uderzyć w okna. Zrobiło się cicho jak przed burzą, a potem Marek Kamiński odezwał się cichym, chrapliwym głosem:

– Nie, tam już nie wrócę. Gdybym wiedział, co się tam wydarzy, w ogóle bym nie pojechał. – W gardle mu zaschło, musiał odchrząknąć. – I tobie też odradzam. Cześć, trzymaj się.

Robert z osłupieniem wsłuchiwał się w ciszę. Spojrzał na ekran telefonu – Marek się rozłączył.

Przez całą noc Robertowi śniła się Antarktyda – białe połacie lodu, Góry Ellswor tha, majestatyczne nunataki[1] do złudzenia przypominające piramidy, i pustynie polarne. Kiedy się obudził, zewnętrzne parapety pokrywała cienka warstwa śniegu. Październikowe wiatry przyniosły gwałtowne ochłodzenie, chwilowe tylko, bo temperatura znów miała podskoczyć powyżej piętnastu stopni. Otworzył okno, wciągnął w płuca ostre powietrze i dotknął palcem cieniutkiej skorupy zamarznię tego śniegu. Wiedział, że to już ostatki, resztki sił natury, która wciąż walczyła z człowiekiem i tym, co jej zsyłał od czasów rewolucji przemysłowej, ale i tak była skazana na porażkę. Śnieg, lód niebawem znikną z powierzchni świata – jeśli pój dzie dobrze, to jeszcze nie za jego życia, choć Robert powoli przestawał w to wierzyć. Raporty z Ice Legacy nie podnosiły na duchu.

A jeśli to ostatnia szansa na to, by zobaczyć biegun północny? – pomyślał z na głym niepokojem, od którego zrobiło mu się zimno, i szybko zamknął okno.

Trząsł się, wpatrzony w pochmurne niebo i ciężko kołujące w górze mewy.

I ostatnia szansa na Antarktydę, bo przecież skąd mamy wytrzasnąć tyle kasy... – westchnął z rezygnacją, a potem zerknął na telefon.

Dochodziła siódma, powinien zaraz usiąść do roboty, ale nie potrafił się zebrać. Włączył jeden ze swoich ulubionych podcastów podróżniczych, żeby przestać w końcu myśleć o Antarktydzie. Odcinek poświęcony był Tana Toraja, regionowi w centralnej części wyspy Sulawesi. Rob chciał odwiedzić to miejsce i zobaczyć słynne rytuały pogrzebowe, odpuścił jednak, gdy odkrył, że zjeżdża tam mnóstwo ludzi złaknionych widoku zmarłych co roku wyjmowanych z grobowców przez ro dziny. Prowadzący mówił właśnie o tym, że całkiem niedawno doszło do zbezczesz czenia zwłok. Ktoś włamał się do jednego z grobowców wykutych w skale i najwyraźniej chciał sobie zrobić zdjęcie ze zmumifikowanym nieboszczykiem. Rodzina, która podczas rytuału *ma'nene* znalazła jego porozrzucane resztki, była wstrząśnięta.

– Turyści – sarknął Rob, włączając ekspres, ale gdy czekał na kawę, jego myśli znów wróciły do Marka Kamińskiego. A może spróbować jeszcze raz? Może przez noc zmienił zdanie? Nie, to nie miało sensu. Rob na tyle go znał, by wiedzieć, co oznacza jego odmowa. Jeszcze nigdy nie słyszał w jego głosie takiej pewności, chłodnego, wyzutego z emocji zdecydowania, za którym coś jednak musiało stać... Czyżby to był strach? Nic nie wspominał na temat ostatniej wyprawy na biegun, w ogóle o niej nie mówił, tak jakby nie miała miejsca.

Coś tam musiało się wydarzyć – pomyślał Robert, bo niewiele było rzeczy, które mogłyby odstraszyć Marka Kamińskiego, i od razu postanowił zapytać o to Steinera.

Steiner jednak nie odebrał telefonu. Ani tego, ani pięciu kolejnych i gdy Rob już zamierzał wsiąść w SKM-kę i pojechać do Orłowa, nagle oddzwonił.

– Sorry, byłem na treningu – wysapał.

Robert, który już zdążył się na Marka najpierw porządnie zezłościć, potem zanie pokoić się o niego, aż w końcu zaczął się naprawdę bać, odetchnął z ulgą i... ucieszył się. Skoro Mark wybrał się na trening, po tak długiej przerwie nieznośnej sta gnacji, coś musiało się w nim zmienić, coś musiało go do tego zmobilizować. Czyżby propozycja Grassa?

– Na treningu? Brzmisz, jakbyś ciągnął parowóz po tych twoich wzgórzach – rzu cił lekko Rob.

– Blisko – wydyszał Mark. – Ciągnąłem opony po plaży.

Robert poderwał się z fotela. To były wspaniałe wieści! Ciągnięcie opon po plaży stanowiło jeden z obowiązkowych punktów w treningu przygotowującym do po

ważnej wyprawy. Czyżby jednak jego wspólnik przemyślał sprawę i zdecydował się wyruszyć na biegun?

– Muszę coś ze sobą zrobić – wyszeptał tak cicho, że Rob ledwie go usłyszał. – Muszę zmusić mój organizm do tego, żeby znowu...

Chciał żyć – dokończył w myślach jego przyjaciel, ale nie odważył się wypowie dzieć tego na głos.

– To może wpadnę do ciebie jutro rano i trochę pobiegamy, co? – powiedział za miast tego. Wcale nie chciało mu się wstawać o świcie i jechać do Orłowa po to, by zrobić dziesięć kilometrów po plaży i wzgórzach otaczających klif, ale jeśli miało to oznaczać powrót Marka do normalnego życia, Rob bez marudzenia nastawi sobie budzik na piątą.

W przedłużającej się ciszy wyczekiwał jego odpowiedzi. A ta nie nadchodziła. Rob zamknął oczy i bezwiednie zacisnął palce na telefonie.

– No wiesz, jutro to może nie... – odezwał się w końcu Mark. – Pewnie nie będę miał siły wstać. Co powiesz na pojutrze?

Przez cały kolejny dzień Robert sprawdzał co chwilę wiadomości, obawiając się tego, że Mark odwoła trening. Nie odwołał jednak, i rzeczywiście zrobili dziesięć ki lometrów, a potem umówili się na pływanie w morzu. Na początku bez szaleństw, bo już dawno żaden z nich nie wchodził do lodowatej wody – ot, zaledwie do bojki, która znajdowała się niedaleko orłowskiego molo, a i tak Robert miał wrażenie, że zamarza mu każdy centymetr ciała. Kiedy dobiegli z plaży do domu Marka, wzięli prysznic i przebrali się w suche rzeczy, po raz pierwszy wspomniał mu o swojej roz mowie z Kamińskim.

– Nie wiesz, co się wydarzyło podczas jego ostatniej wyprawy na biegun? – zapy tał. – Brzmiał tak, jakby spotkało go tam coś... przerażającego.

Mark tylko potrząsnął przecząco głową i zamyślił się, a potem powiedział cicho, że może jednak pojedzie na tę wyprawę. Tylko Rob musi dać mu trochę czasu, nim ostatecznie podejmie decyzję. Granek chętnie rzuciłby mu się na szyję i porządnie go uściskał, jednak za dobrze znał Steinera. Dlatego po prostu wzruszył ramio nami, i starając się powstrzymać od uśmiechu, rzucił:

– Jasne. Jak chcesz.

Po kilku dniach intensywnego treningu, który na razie polegał głównie na biega niu i pływaniu w morzu, Mark zgodził się na wyprawę z klientami na biegun. Nie zrobił tego z potrzeby serca, raczej powodowany głosem rozsądku, który w końcu przebił się przez mgłę marazmu, w jakiej Steiner tkwił od dłuższego czasu, i zmusił

go do działania. Mark wiedział, że musi zająć czymś swoje myśli, bo tylko tak wypełni tę okropną martwą ciszę, w której budził się każdego ranka i zasypiał późno w nocy. Dni zlewały się ze sobą, tworząc gęstą zawiesinę, tak ciężką i ponurą, jak tylko potrafi być grudniowe niebo nad Zatoką Gdańską. Nie chciał nigdzie jechać, nie chciał nawet wychodzić z domu, wystarczyło mu towarzystwo Kropki i Przecinka, a jednak zmuszał się do tego, by wstać i włączyć ekspres do kawy, by włożyć buty do biegania i ruszyć na plażę, by zacząć planować wyjazd. Im bardziej zapełniał sobie dni takimi drobiazgami, tym szybciej mijały, i tym rzadziej łapał się na myślach, że właściwie to nie ma sensu. Bo nie miało, a on nie mógł z tym nic zrobić, dlatego skupił się na tym, co zawsze powtarzała mu Misaki: „Wystarczy nie zwracać uwagi na uczucia i myśli, które nam przeszkadzają, a wtedy po prostu dają nam spokój". Była buddystką i Mark zdążył już przesiąknąć jej zainteresowaniami, poglądami, religią i sposobem patrzenia na świat, tak odmiennym od tego, z którym zapoznała go matka. Aiko była agnostyczką, kobietą twardo stojącą na ziemi, i od kiedy przyjechała do Polski jako dwudziestotrzylatka, nauczyła się stawiać czoła trudnej rzeczywistości. W 1980 roku cudzoziemcy nie mieli tu łatwo, zwłaszcza gdy przyjechali na zaproszenie kogoś, kto podpadł władzom ludowym. Zaprosił ją Yoshiho Umeda, Japończyk mieszkający w Polsce od trzynastego roku życia i tolerowany przez władze, przynajmniej dopóki nie zaangażował się w działalność Solidarności. Aiko studiowała w Tokio filologię polską, przyleciała do Gdańska na praktyki, poznała Tomasza Steinera i... została. Dzięki odpowiednim znajomościom pomagała Umedzie zorganizować Centralne Archiwum Polskie w stolicy Kraju Kwitnącej Wiśni i jakimś cudem nie naraziła się przy tym służbom. Kiedy Yoshiho został wydalony z kraju po ogłoszeniu stanu wojennego, ona skupiła się na życiu prywatnym i wiciu gniazdka w Orłowie niedaleko plaży, a przy okazji na drukowaniu w piwnicy prasy podziemnej. Była drobna, wręcz filigranowa, a jednak Markowi zawsze się wydawało, że jego matka ma siłę Atlasa. Gdy poznał Misaki, podświadomie spodziewał się, że będzie miała te same cechy, tak jakby kultura i miejsce urodzenia stanowiły podstawowe kryterium osobowości, ale ona była zupełnie inna. Jedyna w swoim rodzaju.

Była.

Przypomniał sobie jedno zdanie z książki o wyprawie na biegun: „Jest zimno, cieplej nie będzie". Pomyślał, że skoro pomogło ono Markowi Kamińskiemu przejść pierwszą drogę na biegun, to może pomóc i jemu wydostać się z tej lodowej emocjonalnej szczeliny, w której ugrzązł, gdy odeszła od niego Misaki.

– Jest zimno, cieplej nie będzie – mruknął, wkładając buty do biegania.

Przecinek i Kropka obserwowali jego ruchy ze schodów. Żadne z nich się nie ru szyło. Nic dziwnego, w taką pogodę kot nie chciał wyjść nawet na taras, a pies wolał załatwić się w ogrodzie i pospiesznie wrócić na ciepłe legowisko.

– Cieplej nie będzie – westchnął ciężko Mark i otworzył drzwi.

Przenikliwy wiatr wdarł się do domu i wypłoszył oba zwierzaki. Pachniał mo rzem i deszczem, był wilgotny i ostry jednocześnie. Steiner wciągnął powietrze głę boko do płuc i ruszył truchtem w stronę plaży. Pozdrowił skinieniem głowy są siadkę z naprzeciwka, starszą panią, która niegdyś przyjaźniła się z jego mamą, a teraz przychodziła do Kropki i Przecinka za każdym razem, kiedy wyjeżdżał. Odpo wiedziała mu uśmiechem i pokazała uniesiony kciuk – ona też cieszyła się, że w końcu postanowił wyjść z domu i zacząć trenować. Nie miałaby nic przeciwko temu, gdyby zapomniał o tej miłej Japonce i znalazł sobie jakąś dziewczynę, najle piej stąd, taką, która mówiłaby po polsku i z którą dałoby się porozmawiać, ale od czegoś trzeba przecież zacząć. A najlepiej zacząć, wychodząc z domu – stwierdziła w duchu, opatulając się szalem, prezentem od Marka z jednej z tych jego wypraw. Dobrze znała wszystkich sąsiadów mieszkających od lat przy ich ulicy. Jedni byli do matorami i wyjeżdżali stąd tylko w sezonie letnim, gdy Orłowo zamieniało się w turystyczną mekkę, inni w kółko krążyli po świecie, gnając za pieniędzmi albo przy godami, ale nie Mark. On po prostu taki się urodził – z żyłką globtrotera. Uśmiech nęła się, przypominając sobie słowa swojej przyjaciółki. Szkoda, że Aiko już nie ma – pomyślała. Gdyby tylko nie wsiadła wtedy do tego przeklętego samolotu, wciąż by żyła i chodziła ze mną na spacery po plaży.

Ale wsiadła. Poleciała z mężem do Rosji, bo pracował właśnie nad jakimś reporta żem – pani Maria nie mogła już sobie przypomnieć jakim. Nic dziwnego, od ich śmierci minęło siedem lat, ale i tak wciąż nie mogła się z tym pogodzić. Jednego dnia straciła jednocześnie najlepszą przyjaciółkę i ulubionego sąsiada – przecież znali się z Tomkiem już od dzieciństwa, razem bawili się na plaży, pływali w morzu, włóczyli się po okolicznych lasach i przez przeszkloną ścianę zaglądali do Maxima. Teraz, im była starsza, tym chętniej wracała do wspomnień z dawnych lat i cza sami nawet zdawało się jej, że w oknie domu naprzeciwko widzi twarz przyjaciółki. Przystawała wtedy na moment, unosiła dłoń, jakby chciała jej pomachać i zaraz ją opuszczała. Aiko nie żyła, Tomasz nie żył, coraz więcej ludzi z jej otoczenia umie rało, a ona wciąż co rano się budziła i zanim jeszcze wstawiła wodę na herbatę, szła nad morze, przywitać się z mężem. On też nie żył, ale już od tak dawna, że na uczyła się za nim nie tęsknić. Był marynarzem i pewnego dnia zabrał go sztorm. Pani Maria dreptała więc w stronę plaży, przystawała przy linii drzew, spomiędzy

których błyskało morze, i witała się z mężem. Gdy zdarzało jej się obudzić przed piątą rano, spotykała tam Marka – miał swoje ulubione miejsce na pniu sosny, na stromiźnie prowadzącej na plażę. Pani Maria za nic by tam nie zeszła, nie te lata, ale patrzyła na niego z góry i myślała, że on też ma swój rytuał. Raz go o to zapytała, a on wyjaśnił, że medytuje. To taka inna forma modlitwy, skupienia. Potrzebuję tego – dodał, a ona ze zrozumieniem poklepała go po ramieniu. Tak, ona też potrzebowała tych porannych spacerów nad morze, cichego: „Dzień dobry, kocha nie" wyszeptanego do męża. Mieszkała sama, z dala od innych członków rodziny, i czasem zastanawiała się, czy kiedy umrze, Mark skontaktuje się z nimi, by przekazać wieści. To właśnie on powiedział jej o wypadku lotniczym, w którym zginęli jego rodzice, a potem tulił ją w ramionach, gdy zaczęła szlochać jak dziecko.

Otarła łzę, zanim ta zdążyła wymknąć się spod powieki, i westchnęła. Na stare lata robiła się zbyt sentymentalna. Odwróciła się jeszcze na chodniku i popatrzyła za truchtającym w stronę plaży Markiem. Mój czas powoli się kończy – pomyślała – ale ty wciąż masz go pod dostatkiem. Wykorzystaj go dobrze, chłopcze. I nie siedź w tym Orłowie, bo to sprzeczne z twoją naturą.

Mark zupełnie jakby ją usłyszał, bo przystanął i spojrzał na nią, a potem uniósł rękę, żeby jej pomachać. Pani Maria aż wstrzymała oddech, a potem zaczęła się z siebie śmiać, bo sąsiad po prostu się rozciągał.

Nie mogła wiedzieć, że coś z jej myśli jednak do niego dotarło, ale właśnie teraz, po raz pierwszy od długiego czasu, Mark pomyślał z nadzieją o wyjeździe. Z nadzieją, że podczas tej wyprawy znowu odnajdzie to, co zgubił. Siebie.

---

1 Szczyty wzgórz wznoszące się ponad dość płaską powierzchnię lądolodu, otoczone niekończącymi się przestrzeniami śniegu (red.).

Koniec darmowego fragmentu